

Rzucił restaurację na Saskiej Kępie i pojechał na wojnę. „W Warszawie brakuje prawdziwych wartości”

- Większość chłopaków z Polski, którzy służyli ze mną, nosiło opaski Polski Walczącej i miało w sercu tę historię – mówi w rozmowie z nami Piotr Mitkiewicz, ochotnik walczący na Ukrainie.

Umawiamy się w kawiarni na warszawskim Kamionku. Piotr wygląda niepozornie. Materiałowe spodnie, T-shirt i dobrze przystryżona broda. Właśnie wyszedł od barbera. Na spotkanie przychodzi z córką i żoną. Niedawno zerwał kontrakt z Międzynarodowym Legionem Obrony Terytorialnej Ukrainy. Już czwarty raz. Po raz kolejny obiecuje, że nie wróci już na front. Ale coś go tam ciągnie.

Red.: Jak długo jedzie się z Warszawy na wojnę?

Piotr Mitkiewicz: To tak, do Chełma trzy godziny pociągiem. Potem jest godzinna przerwa. I dalej dwanaście godzin do Kijowa. Ale Ukraińcy mają kuszetki, więc jest wygodnie. Z Kijowa do Charkowa pośpieszny jedzie pięć, a kuszетка osiem godzin.

Cały dzień...

Dwadzieścia cztery godziny.

Pociągów jest teraz trzy razy więcej niż przed wakacjami. Bo ludzie jeżdżą na Ukrainę. Przejścia graniczne są zawałone.

A pamiętasz tę pierwszą podróż?

Dobrze pamiętam, bo pojechałem z kolegą.

Wcześniej prowadziłem restaurację na Saskiej Kępie i po wybuchu wojny razem z sąsiadami zaczęliśmy robić kanapki dla uchodźców. Przy jednej takiej akcji przyszedł Ukrainiec - Ilia - razem z synem. Zapytał o kanapkę. Ilia był dobrze po pięćdziesiątce, więc mobilizacji nie podlegał.

Zaprowadziłem go do drugiej sali. Pokazałem ekipę, która robi kanapki i zanoszą na Dworzec Wschodni dla dziewczyn i dzieci. Popłakał się. Mówił, że gdy tylko może, jeździ pomagać na Ukrainę. I wtedy mu powiedziałem, że chciałbym wstąpić do legionu. To było krótko po tym jak Zełenski ogłosił, że ludzie z całego świata mogą przyjeżdżać i bronić Ukrainy.

Kilka dni po wybuchu wojny...

Wystąpienie było w niedzielę, a ja w poniedziałek byłem już w ambasadzie. Tam nic nie wiedzieli. Dowiedziałem się, że punkt zbiorczy jest w Medyce. Pojechałem z Ilią, mówił że ma znajomych wojskowych.

Po drodze Ilią miał wypadek. W ciągu dwóch godzin załatwiłem mu mechanika i nowy samochód. Bardzo mu się to spodobało. On wtedy pomyślał, że nie pomoże mi dołączyć do armii, bo mam restaurację, żonę, dzieci... Wymyślił, że lepiej byłoby wykorzystać moją chęć pomocy w wolontariacie. Ale mi tego nie powiedział.

Będąc już na Ukrainie zaprosił kolegów i wszyscy mówili mi, żebym wracał. Że nie potrzebują osób bez doświadczenia wojskowego.

Zdołowany wróciłem do Polski.

Ale za miesiąc Ilią znowu jechał. I wtedy powiedziałem mu, że jedziemy razem, a ja zgłoszę się na rekrutację do legionu.

Twoja restauracja działa do dziś?

Nie, nie. Zbankrutowała. Zostawiłem żonę samą z tym biznesem, ale ona nie miała na to siły. Do tego lokal przynosił straty.

Zatrudnialiście osoby z Ukrainy?

U nas nie. Z pierwszymi uchodźcami był taki problem, że oni nie chcieli pracować. Bo chcieli zaraz wracać do domu. Mówili, że za dwa miesiące będą u siebie. Ale faktycznie wtedy ok. 80 proc. Ukrainy – niezajętej przez Rosjan – według mnie nadawała się do powrotu.

Trenowałeś boks, prowadziłeś restaurację w modnej dzielnicy – na pewno miałeś kontakt z wieloma osobami. Jak to wyglądało z twojej perspektywy, Warszawa pojechała na tę wojnę?

Ludzie, którzy ruszyli z Warszawy, pojechali po kobiety i dzieci do Medyki. Zabierali do swoich mieszkań, karmili, kupowali potrzebne rzeczy... Walczyć pojechało niewielu. Większość z nich uciekła po wybuchu na poligonie w Jaworowie (13 marca 2022 roku – red.). Tam często przyjeżdżali „turyści”. Gdy mieli jechać na front – zrywali kontakt. Albo uciekali z jednostki do jednostki, żeby być tylko na okres szkoleń.

Spotkałeś Polaków na froncie?

Tych, którzy polegli, znałem wszystkich.

Wróćmy do twojej drugiej podróży z Ilią. Tym razem postawiłeś na swoim, dołączyłeś do legionu. Jak długo trwało, od momentu gdy tam przyjechałeś, do czasu, gdy poszedłeś na front?

Mieliśmy niecały miesiąc szkolenia w bazie X. Było nas około dwudziestu. „Duch” (najbardziej znany polski wojownik na Ukrainie – zmarł w 2023 roku, był dowódcą batalionu, do którego należał Piotr Mitkiewicz – red.) wybierał sobie takich ludzi, jakich chciał. Byliśmy batalionem specjalnego przeznaczenia.

Dostawaliście trudniejsze zadania?

Tak, ale łatwiejsze do przeżycia. Pracując w zwiadzie cały czas jesteś w ruchu. Jak widzisz, że jest gówniana sytuacja, to nie dostajesz polecenia „stój na pozycji”, tylko ją zmieniasz. Dowódca decyduje. Ale mamy możliwość decydowania na miejscu – inaczej niż w piechocie.

Swoją książkę zaczynasz od mocnych słów, „pojechałem zginąć śmiercią bohaterską”. Dlaczego tam pojechałeś?

Wielu moich znajomych ważyło. Chcieli jechać „bić Ruskich”, bo historie rodzinne, bo II wojna światowa. To jest niechęć do Rosji, do Związku Radzieckiego, ale nie do zwykłych Rosjan.

Na jednej szali tej wagi stawiali to, że chcieli jechać, a na drugiej przemyślenia: przecież nie mam przeszkolenia, mam pracę, rodzinę, duży brzuch... Co ja tam zrobię? Myślę, że w 99,9 proc. przypadków ta waga wskazała mi, że zostaję w domu.

A Tobie wskazała, że trzeba jechać?

Mam ułańską naturę. Działam emocjonalnie. Jak sobie postanowię, to czasem bezmyślnie coś robię. Pomijam niektóre aspekty.

Restauracja nie sprawiała mi satysfakcji, w relacji z żoną miałem problemy, nie czułem motywacji do niczego. Stwierdziłem, że zrobię coś dobrego.

Myślałem, że legion obcokrajowców to będzie ekipa z Tik-Toka. Będą nas pokazywać, by podnosić morale Ukraińców. Że razem z nami są i Polacy, i Amerykanie, i Białorusini, i Francuzi... Myślałem, że pewnie nie zginę, a może zrobię coś dobrego? A jak zginę, to przynajmniej rodzina dostanie dobre odszkodowanie (podawano, że poległy w walce otrzyma 1,5 mln zł odszkodowania – red.)

W książce piszesz, że to niepewne...

Ojciec Daniela Sztybera (Polaka, mieszkańca Warszawy, który w 2023 roku poległ na froncie – red.) dostał już pierwszą ratę odszkodowania. Obiecaliśmy sobie z „Duchem”, że jeśli zginie, to zrobimy wszystko, żeby nasze rodziny dostały odszkodowania. Pieniądz – niestety – w naszych realiach daje wolność.

Pieniądz jest widoczny na wojnie? Dołączając do legionu podpisuje się kontrakt. To bardzo specyficzna, ale jednak praca.

My mówimy, że idziemy „na robotę”. Zazwyczaj pracujemy trzy dni, potem cztery dni wolnego. Pieniądze nie są ważne, ważne że jest robota.

To jest twoje podejście. Ale wszyscy legioniści tak mają?

Jeżeli chodzi o Polaków, to pieniądze mają drugorzędne znaczenie. Oczywiście, gdyby ich nie było i mieliby jechać na pół roku za darmo, to by się zastanowili. Ale patrząc na przeciętną pensję w wojsku ukraińskim, to lepiej zarobi się na szparagach w Niemczech. Tylko wtedy nie ma się respektu wśród ludzi.

Większość (legionistów – red.) ma doświadczenie wojskowe. Często przyjechali zdobyć większe doświadczenie, wpisać to do CV i jakoś wykorzystać. Tak robią Amerykanie, bo potem mogą to spieniężyć. Polacy niekoniecznie.

Mówiłeś, że w Polsce nie mogłeś znaleźć miejsca dla siebie. Jak już dołączyłeś do legionu to poczułeś, że to jest to miejsce?

My byliśmy specyficzni, bo zbudowaliśmy przyjacielską więź. Jak jedna grupa szła na robotę, to klepaliśmy się po plecach, mówiliśmy „I love You brother”. I to było szczere. Nie to co w Warszawie. Tutaj świat jest obłudny, zakłamany, tworzone są

intrygi... Ten świat na wojnie jest prawdziwy. Tu nikt nie ściemnia, bo zostanie zweryfikowany w moment.

W Warszawie brakuje prawdziwych wartości?

W naszym świecie brakuje prawdziwych wartości. Tam jest sytuacja graniczna. Możesz zginąć, ale wolisz poświęcić swoje życie, żeby ktoś mógł żyć.

Wiesz co dla tego miasta jest ważne. 1 sierpnia wszyscy stajemy na baczność w czasie Godziny „W” i deklarujemy swój patriotyzm. Z drugiej strony mówisz o upadku wartości. Widzisz w tej postawie, manifestacji 1 sierpnia, fałsz?

Większość chłopaków, którzy służyli ze mną, nosiło opaski Polski Walczącej i miało w sercu tę historię. Zmarły Daniel Szyber to była wyjątkowa postać, bo co roku woził - jak mówił - „dziadków”, Powstańców na uroczystości. Rozmawiał z nimi i był blisko z ich wartościami. Jak mówił potem jego ojciec, a było to dość dwuznaczne, pełne cierpienia: „po co wychowałem bohatera”.

„Po co wychowałem bohatera”... (Piotr powtarza ten cytat kilka razy. Zastanawia się nad nim. Na chwilę zawiesza się. Siedzimy w ciszy).

Uważam, że Polaków chcących walczyć (gdyby tutaj wybuchła wojna – red.) byłoby tyle samo co Ukraińców. Niektórzy by uciekli, inni wrywaliby się po broń. Tam na początku była wielka motywacja by dołączyć, a teraz – po dwóch latach – nie ma ludzi, którzy chcieliby wstąpić do armii. A tych, którzy wtedy chcieli, już nie ma, bo nie żyją. Albo są inwalidami.

Bo jak pójdziesz na cztery misje, na ochotnika, to raczej umrzesz.

Ty poszedłeś. I dziś jednak rozmawiamy.

Ale sporo osób umarło.

(dłuższa cisza)

Ostatnie pół roku robiłem w dronach. To bezpieczniejsza robota. Jedyne co robiłem niebezpiecznego, to zbierałem ciała dwóch naszych zmarłych. Jechałem przez trzy kilometry po otwartym polu, gdzie pracowały ruskie drony. Gdyby mnie trafiły, to bym zginął. Ale miałem szczęście.

Wojna to nie jest chaos. Wiem co jaki ma dźwięk. Słyszę w którym miejscu pracuje rosyjska artyleria. A oni się nie przestawią na mnie, bo nie jestem dla nich celem. Jakbym jechał czołgiem - to tak. Ale jak jadę quadem, to nie będę interesujący.

Czytając twoją książkę miałem poczucie, że początkowo wojna wygląda jak z gier komputerowych czy filmów akcji. Potem się to zmieniło. Z czego wynika ta różnica?

Zmieniały się sytuacje na froncie. Dopóki nie było tak wielu dronów i ciągłej obserwacji, można było robić brawurowe misje. Choćby podczołgać się pod pozycję wroga... A teraz się tego nie da. Bo cię widzą. Nie wyślesz ludzi w odległości czterech kilometrów od frontu, bo od razu drony FPV cię zabiją.

Podczas przygotowywania dronów / archiwum własne

Na początku skuteczne były Javeliny (ręczny pocisk kierowany – red.). A teraz są zupełnie bezużyteczne. Chodziliśmy ze Stingerami (ręczny pocisk kierowany – red.) – które mają zasięg 5 km. Na początku można było zestrzelić helikopter, ale teraz piloci nie podlatują bliżej niż na 10 km.

Wojna się sprofesjonalizowała?

Wojna dostosowuje się do sytuacji. Przykładowo, „zakłóćarki” na drony FPV, które pracują jednego dnia, drugiego są bezużyteczne. I trzeba się dostosować, bo inaczej będzie mnóstwo śmierci oraz zniszczonej techniki. Jeżeli się nie dostosujesz, to zginiesz.

Coraz mniej heroicznych misji jest możliwych do wykonania. I coraz mniej jest ludzi zdolnych do takich misji. Ci, którzy przeżyli dwa lata wojny, wiedzą jak przeżyć. Po prostu jak dowódca każe, to mówią mu „zrobię, ale potrzebuję to, to i to”.

Wracasz na front z przepustki i wojna wygląda zupełnie inaczej?

Wszystko się zmienia w zależności od pogody i pory roku. Lato to okno do ofensywy. Później zaczynają się deszcze. Obie armie liczą sobie, kiedy mogą ruszyć. Jak zaczynają się deszcze, to trwają walki w średniej wielkości miastach.

To najtrudniejszy moment?

Walki w mieście są najbardziej krwawe. Jedna i druga strona jest nawet na odległość rzutu granatem - około trzydzieści metrów od siebie.

Wojna, którą widzimy w telewizji i ta, którą ty widzisz, to dwie zupełnie inne rzeczywistości?

To co widzimy na YouTube, chociażby szturm okopu, to jeden procent roboty. Bo po drodze 30 proc. ludzi zginie od artylerii, od dronów, albo nie dojedzie na pozycję. W

mediach widzimy tylko finał – jak w boksie, gdzie oglądamy walkę, ale wcześniej zawodnicy przez rok się do niej przygotowują.

Cztery razy zrywałeś kontakt...

I potem wracałem, na miesiąc czy półtora. Ostatni raz kontrakt zerwałem dwa tygodnie temu. Za każdym razem mówię, że już nie wrócę.

Teraz też tak uważasz?

Jestem na dużym rozstaju.

Bardzo wyspecjalizowałem się w bezzałogowcach. Używałem skrzydlatych dronów, kwadratokopterów, pojazdów gąsienicowych... To jest przyszłość.

Masz ogromne doświadczenie. Jak chcesz to wykorzystać?

Kilka dni temu byłem w ogromnej firmie szkoleniowej, która pracuje na rzecz armii czy policji. Są bardzo zainteresowani szkoleniami dotyczącymi dronów FPV. Bo w tym momencie Polaków z podobnym jak moje, bojowym doświadczeniem, jest... trzech. To elitarna wiedza.

Ale problem ze mną jest taki, że nie byłem w wojsku. Jestem człowiekiem znikąd, który udzielił kilku wywiadów i wiele osób zastanawia się jakim cudem to wszystko przeżyłem.

Po tym wszystkim co przeżyłeś, widzisz swoją przyszłość tu, w Warszawie?

(Długa pauza. Piotr zaczyna niespokojnie przebierać nogami.)

Tu jestem pełen agresji, mam problem z tym jak ktoś nie ma do mnie szacunku... Tam masz duży respekt. Praca w armii powoduje, że idziesz z podniesioną głową. To dużo ważniejsze niż pieniądze.

To tylko kwestia wojny? A może niektórym – jak Tobie – mniej pasuje takie życie, jakie prowadzi się w Warszawie, czy w innych dużych miastach?

Nie uciekniesz od YouTube'a, Facebooka czy Tik-Toka. Chyba, że staniesz się pustelnikiem. Albo wyrzucisz 90 proc. ludzi ze swojego otoczenia.

A co dalej? Może całą rodziną pojedziemy do Odessy na najbliższy rok, dzieciaki pójdą do szkoły międzynarodowej, a my sobie odpoczniemy z żoną. Bo nasze relacje przez te dwa lata potwornie ucierpiały.

(Mieliśmy już po kończyć, ale Piotr ma jeszcze prośbę, pewnego rodzaju apel do Ukraińców.

Podkreśla, że stworzył się ogromny problem, jeśli chodzi o edukację młodych Ukraińców. W Warszawie – jak sam zaobserwował - Ukraińcy mówią tylko po rosyjsku. Natomiast w ich ojczyźnie ten język jest rugowany. Starsi, mieszkający głównie we wschodniej części kraju, mówią wyłącznie po rosyjsku. Ale ich dzieci, w szkołach „przerzucono” na ukraiński. Czasem wobec tego nie potrafią czytać i pisać. I to tworzy ogromne problemy komunikacyjne.)

Chciałeś jeszcze coś dodać, przekazać Czytelnikom...

Tak. Chcę przekazywać, że natura ludzka to jest bycie kur**, złodziejem i alfonsem. Są tylko trzy rzeczy, który musisz zrobić, żeby ta natura z ciebie nie wyszła. Kochać ludzi, mieć szacunek do siebie, albo te dwie rzeczy na raz.

To tyczy się też ojczyzny. Jeśli jej nie cenisz, to będziesz ją okradać.